

OBŁĘD



Alicja Horn

# OBLĘD



Copyright © by Alicja Horn, 2023

Copyright © for this edition by Faros Wydawnictwo

Warszawa 2023

*All rights reserved*

ISBN 978-83-964687-8-9

## ROZDZIAŁ 1

Aleksander Berman sączył drinka i dyskretnie rozglądał się po sali. O tej porze w klubie *Eclipse* zaczynało być tłoczno. Na środku sali tańczyło kilka dziewczyn, na które już wcześniej zwrócił uwagę, ale każda z nich miała towarzystwo. Ponownie spojrzął na brunetkę przy barze. Lubił nieco młodsze, ta za to wyróżniała się urodą. Długie czarne loki luźno spływały na jej nagie ramiona. Ubrana była w krótką, obcisłą sukienkę na ramiączkach, na nogach miała szpilki, a na ustach mocną czerwoną szminkę – aparycja zdradzała gotowość na przygodę. Już od ponad dwudziestu minut niecierpliwie spoglądała na wyświetlacz komórki i nerwowo wystukiwała palcami rytm na kontuarze. Ktoś ją wystawił, pomyślał Berman i podjął ostateczną decyzję. Desperacja była jego sprzymierzeńcem. Kieliszek brunetki był prawie pusty, musiał się spieszyć. Kobieta wyglądała, jakby zaraz miała opuścić lokal.

– Kasia? – spytał, zachodząc ją od tyłu.

– Słucham? – Brunetka odwróciła głowę w jego stronę. Z bliska była nawet ładniejsza.

– Czy to ty jesteś Kasia? – powtórzył pytanie.

– Pomyłka, nie jestem żadna Kasia. – Kobieta znów skupiła się na komórce i niedopitym koktajlu.

– Szkoda – westchnął i usiadł na wolnym hokerze obok niej.

– Czekam na kogoś – oznajmiła brunetka z pretensją w głosie.

– Ja też, na dodatek czekam już długo. Czuję się tu niezręcznie, tak sam. Nie dotrzymałabyś mi towarzystwa? Zwolnię miejsce, jak tylko pojawi się twoja randka, obiecuję.

– Albo twoja... – odparła kobieta, już miłszym tonem. Patrzyła na niego z przychylnym zainteresowaniem.

– Straciłem nadzieję na to, że moja w ogóle przyjdzie. Chyba mnie wystawiła...

– Witaj w klubie... – Pokiwała głową brunetka.

– Naprawdę? Tylko idiota wystawiłby tak piękną kobietę. Gdybym to ja był z tobą umówiony, przyszedłbym godzinę wcześniej.

Uśmiechnęła się, odsłaniając rząd ładnych, równych zębów.

– Miły jesteś.

Przez kilka sekund patrzyli sobie prosto w oczy. Ewidentnie była między nimi chemia, Aleksander wyczuwał ją szóstym zmysłem.

– Wiesz, tak sobie myślę, może to jakiś znak, że oboje zostaliśmy wystawieni do wiatru w tym samym czasie?

Może to z tobą przeznaczone było mi spędzić ten wieczór? A tobie ze mną? – Zaryzykował szybki podryw.

– Kto wie... – Wygięła się seksownie.

Bez wątpienia zaczynała z nim flirtować. Znow mu się udało. Poszło szybko i łatwo, czyli w sumie jak zwykle. Był dość wysoki, przystojny, nosił markowe ciuchy i używał drogich perfum. To zawsze działało na takie kobiety jak ona. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz dostał kosza.

– Jestem Aleks. – Podał jej wypielegnowaną dłoń.

– Ani. – Delikatnie odwzajemniła uścisk.

– Ania? – upewnił się.

– Nie, Ani.

– Rzadkie imię...

– Litewskie. Mój ojciec pochodzi z Litwy. – Zawahała się przez moment. – Mam na nazwisko Sakis. Ani Sakis.

– Ładnie.

– Dzięki. A ty masz jakieś nazwisko?

– Wiśniewski – skłamał.

– Też ładnie. – Filuternie, niby od niechcienia, pochyliła się do przodu w taki sposób, by mógł zajrzeć w jej dekolt. Najwyraźniej wiedziała, co lubią mężczyźni. W okolicy krocza natychmiast poczuł znajome, przyjemne ciepło. Gdyby mógł ominąć te durne gadki-szmatki i wyjść z nią z klubu już teraz. Na dodatek

nigdy nie robił tego z Litwinką, to mu się trafiło. Na samą myśl o tym, że wkrótce zedrze z niej te seksowne ciuchy napalał się coraz bardziej. Spokojnie, chłopie – uspokoił w myślach sam siebie. Za wcześnie na takie emocje.

– Mówisz dobrze po polsku – zauważył.

– Moja mama jest Polką. Tu się urodziłam. Ale często jeździłam do dziadków do Kowna.

– Czyli pochodzisz z Litwy... Hm... To tak jak Mickiewicz.

– Łał... Nie tylko przystojny, ale i odcytany... – Położyła mu dłoń na kolanie. Trwało to może sekundę, zaraz zabrała ją z powrotem, ale ciepło w okolicy krocza dało o sobie znać ponownie.

– Mam jeszcze wiele innych zalet, które mogą ci się spodobać. – Mrugnął do niej okiem i skinął dłonią na barmana. – Czego się napijesz? – zapytał.

– Mojito. Dobre tu robią. – Stuknęła paznokciem w prawie pusty kieliszek przed sobą.

– Dwa razy mojito – polecił barmanowi. – No to za nas, za początek pięknej znajomości. – Uniósł ku górze drinka, kiedy barman przyniósł im koktajle.

– Za nas. – Zrobiła to samo. – Mam dobre przeczucie co do tego wieczoru.

– Widzisz tę dziewczynę w rogu? – Pokazał nagle palcem. Brunetka odwróciła się we wskazanym kierunku.



– Znam ją. To znana blogerka modowa. Jeśli chcesz, to ci ją przedstawię.

– Po co? – zdziwiła się Ani.

– Myślałem, że jesteś modelką. Mogłaby ci pomóc w promocji.

– Naprawdę jesteś miły. – Roześmiała się perlistym śmiechem. – Nie jestem modelką. Robię coś wręcz przeciwnego. Ale nie rozmawiajmy o pracy. Jest cudownie, nie psuj tego. Ojej... – Zamarła nagle, wpatrując się w punkt za jego plecami.

– Co się stało? – Zaniepokoił się, odwracając głowę w tamtą stronę.

– Już nic, przepraszam. Fałszywy alarm. Wydawało mi się, że moja niedoszła randka jednak przyszła do klubu. Byłoby szkoda, prawda?

– Wielka szkoda... – Tym razem to on położył rękę na jej kolanie. – Dopijmy drinki i chodźmy na parkiet. Mam ochotę z tobą tańczyć.

– Świetny pomysł. – Wyjęła słomkę i wychyliła zawartość kieliszka. Zrobił to samo, a następnie zeskoczył z hokera i pociągnął ją za sobą w głąb sali.

Rytmiczne basy muzyki hipnotyzowały i zmuszały ciała do synchronicznych ruchów. Przyłgnał do niej, a ona nie stawiała oporu. Tak bardzo jej pożądał! Nie mógł doczekać się, kiedy to, co wsypał do jej kieliszka zacznie działać.

Muzyka nie przestawała go przenikać i upajać, ale nagle uświadomił sobie, że jej źródło zaczęło się oddalać. Coś było nie tak. Dziewczyna tańczyła obok, dotykał jej, jednak nie odczuwał już podniecenia. Obojętniał. Chciało mu się spać.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Ani. – Jakoś dziwnie wyglądasz. Strasznie tu głośno i gorąco, może to od tego? Wyjdźmy na zewnątrz, dobrze? Tam powinieneś ochłonać.

Nie protestował, kiedy wyprowadziła go z klubu. Opierał się na jej ramieniu, czując, jak mięknię mu nogi.

– Trochę się wstawiłeś – szczebiotała brunetka. Nie pamiętał już jej imienia. – Nie szkodzi, zawiozę cię do domu. Mam tu samochód, zaparkowałam niedaleko.

Samochód wyglądał znajomo, ale nie chciało mu się nad tym zastanawiać. Z ulgą usiadł na miękkim fotelu pasażera, a potem bez emocji patrzył przez okno na mijane ulice. Migające światła sprawiały, że chciało mu się spać jeszcze bardziej.

– Nie śpij! – Brunetka jakby o tym wiedziała i szturchała go co chwilę, brutalnie przywracając do fazy zawieszenia między jawą a snem. – Zaraz będziemy na miejscu.

Kiedy zatrzymała samochód i otworzyła drzwi z jego strony, wcale nie chciał wysiadać. Było mu tu dobrze. Poddał się jednak jej woli. Resztką świadomości pojął,

że znaleźli się u niego pod blokiem. Powinno go zdziwić, skąd znała jego adres, ale wtedy wydało mu się to zupełnie naturalne. Z kieszeni jego spodni brunetka wyjęła klucze do mieszkania i po chwili wprowadziła go do wnętrza, które doskonale znał.

– No, teraz możesz już spać – oznajmiła dziewczyna, kładąc go na podłodze jego własnej kawalerki.

To było ostatnie, co zapamiętał.

– Zamieniłaś kieliszki... – wymamrotał i stracił przytomność.

\* \* \*

Marta Wolska rozejrzała się po mieszkaniu. Aleksander Berman był minimalistą. Pomieszczenie było spore, ale znajdowało się w nim niewiele mebli i sprzętów. Jedną ścianę zajmowała kuchnia, z lodówką, kuchenką elektryczną, zlewem i króciutkim blatem roboczym. W przeciwległym kącie stała niewielka kanapa, a przed nią, na ścianie, wisiał telewizor. Centralne miejsce zajmował ogromny materac, stojący na podwyższeniu. Pewnie normalnie służył Bermanowi do spania, ale teraz przykryty był czerwoną, aksamitną narzutą, o burdelowym wyglądzie. U wezłowania czekał stojak na kamerę lub telefon komórkowy, Berman lubił dokumentować swoje wyczyny. Materac przygotowany był dla niej, zdawała sobie z tego sprawę. Lub innej dziewczyny, która w tej chwili leżałaby tu nieprzytomna, gdyby

nie Marta i jej decyzja o wyleczeniu Bermana z jego perwersyjnych skłonności.

Współczuła tym kobietom. Pierwszą konsultowała półtora roku temu. Jako ofiara gwałtu dokonanego przez nieznanego sprawcę, dziewczyna otrzymała profilaktykę poekspozycyjną HIV, czyli leki „na wszelki wypadek”, gdyby gwałciciel był zarażony. Marta wykonała jej szereg badań w kierunku różnych chorób przenoszonych drogą płciową. Badań, które wymagały wielokrotnych powtórzeń, a które za każdym razem przypominały pokrzywdzonej przez jakie piekło przeszła. W ciągu następnych miesięcy do Marty zgłosiły się trzy kolejne kobiety. Było ich więcej, ale trafiały do innych szpitali i innych lekarzy. Marta dowiadywała się o nich z mediów, po tym, jak złapano gwałciciela. O ilu ofiarach nigdy nie usłyszano, bo nie poszły na policję, wstydząc się tego, co zaszło.

Bermana ujęto, ponieważ nie był finezyjny i nie zależało mu na zacieraniu śladów. Kobiety przywoził do siebie do mieszkania i tu je gwałcił, nie używając prezerwatyw i nagrywając to, co robił. Ofiary budziły się w tym miejscu, na czerwonym materacu, a Berman śmiał się, wmawiając im, że same tego chciały.

Pomimo dowodów, które obciążały sprawcę, Berman nie trafił do więzienia. Był synem wysoko postawionej prokurator, która użyła swoich wpływów, by umieścić

go w szpitalu psychiatrycznym, gdzie poddano go terapii zaburzeń seksualnych. Przystojny, dobrze sytuowany – mógł sypiać z kobietami za ich zgodą, nie brakłoby mu chętnych. Dlaczego więc wybierał przemoc? Z pewnością istniała rysa w jego psychice, jakiś czynnik spustowy, który „zmuszał” go do takich, a nie innych zachowań. Tym samym wina nie leżała po jego stronie, był po prostu chorym człowiekiem, któremu należało pomóc, jak twierdził adwokat Bermana, prywatnie przyjaciel jego matki. Po kilku tygodniach leczenia Berman otrzymał wypis ze szpitala. Był już zdrowy i nie zagrażał otoczeniu, co potwierdził własnym podpisem ordynator oddziału psychiatrycznego, prywatnie kuzyn adwokata.

Sam Berman najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego, że został wyleczony – po wyjściu ze szpitala jeszcze tej samej nocy dokonał kolejnego gwałtu. A potem dwóch następnych, zanim ponownie go ujęto. Dzięki matce po raz drugi uniknął więzienia, trafiając do tego samego szpitala, co poprzednio. Posiedział nieco dłużej, lecz w końcu znów go wypuszczono – przecież w gruncie rzeczy nie stało się nic wielkiego. Berman nie był mordercą, nie wyrządzał swym ofiarom żadnych trwałych fizycznych krzywd. Poza tym zbyt długa hospitalizacja byłaby niehumanitarna i sprzeczna z ideą praw człowieka.

Kobiety składające zeznania były zastraszane nie tylko przez osoby powiązane z prokuratorem Berman, ale także i przez samego Bermana – szantażował je wypuszczeniem do sieci filmów nagrywanych na czerwonym materacu. W przypadku kilku z nich spełnił swoje groźby. Filmy krążyły po Internecie, a instytucje powołane do reagowania w takich sytuacjach były bezradne.

Jedna z dziewczyn w akcie desperacji podjęła próbę samobójczą, w rezultacie trafiając na oddział psychiatryczny – urągliwym zbiegiem okoliczności ten sam, na którym przebywał wówczas jej oprawca. Którejś nocy Berman wszedł do sali, na której leżała dziewczyna, obnażył się i masturbował na jej oczach do czasu, aż przerwały mu zaalarmowane krzykami pielęgniarki. Nawet po tym incydencie nie oddzielono kata od ofiary. Szpitale psychiatryczne pękały w szwach i pacjentów niełatwo było przenieść w inne miejsca.

Na szczęście dzisiejszej nocy Berman miał zostać wyleczony ze swej choroby raz na zawsze.

Marta Wolska spojrzała na niego, westchnęła z rezygnacją i szybkim ruchem związała w koński ogon loki peruki, którą miała na głowie. Nie chciała, by przeszkadzały jej w zabiegu, który miała przeprowadzić, a którym trochę się stresowała. Była co prawda lekarzem, ale specjalistą chorób zakaźnych. Nie zajmowała się urologią i nie znała na procedurach zabiegowych. Poza

kilkoma stosunkowo prostymi, jak nakłucie lędźwiowe, nie wykonywała ich w codziennej pracy. Tymczasem za chwilę miała podjąć się orchidektomii, czyli usunięcia obu jąder śpiącego mężczyzny. Nie czuła się na to gotowa.

Mówiąc wprost, Aleksander Berman miał zostać przez nią wykastrowany, a ona wiedzę na temat tego, co chciała mu zrobić, zaczerpnęła z *YouTube'a*.

Pochyliła się nad mężczyznę i zdjęła mu spodnie, a następnie bieliznę. Z plecaka, który przyniosła ze sobą, wyjęła narzędzia i wszystkie niezbędne materiały. To znaczy miała nadzieję, że wszystkie. Taka medyczna improwizacja była jej udziałem po raz pierwszy i oby ostatni! Marta była lekarzem z powołania i pasji, a do swojego zawodu podchodziła sumiennie i metodycznie. Nieustannie doszkaliała się, ucząc przy okazji innych. Denerwowały ją niekompetencja i bylejakość, tymczasem obie te przywary miały za chwilę stać się jej własnym udziałem. Nie miało znaczenia, że w grę wchodził seryjny gwałciciel. Gdyby mogła wykastrować Aleksandra Bermana profesjonalnie, na pewno by to zrobiła. Berman miał jednak pecha – nie było to możliwe. Co prawda w Warszawskim Szpitalu Klinicznym im. Wandy Błęńskiej, gdzie pracowała, znajdował się oddział urologii, a ona знаła tam wielu lekarzy, jednak nie mogła tak po prostu pójść i poprosić o szkolenie

w zakresie ucinania jąder. To byłoby szalone. Już widziała w wyobraźni miny kolegów!

Z kolei podręczniki mają to do siebie, że uczą teorii, a jej niezbędna była praktyka. Tę, ku swojemu zaskoczeniu, znalazła na ogólnie dostępnym serwisie internetowym do oglądania filmów. Wcześniej korzystała z niego, jak każdy, szukając informacji na temat przesażania roślin doniczkowych, czy uszczelniania okien. Nie sądziła, że znajdzie tam również filmy instruktażowe o tak niszowej tematyce. A jednak...

Spojrzała na wyświetlacz komórki – miała jakieś dwie godziny do czasu, kiedy Berman się wybudzi. Powinno wystarczyć. Na wszelki wypadek obok jego prawej nogi położyła strzykawkę z przezroczystym płynem. Woląла mieć jakiś plan B, gdyby źle oszacowała czas działania „pigułki gwałtu”. Berman był większy od niej i raczej nie mogła liczyć na wyrozumiałość i współpracę, gdyby ocknął się w trakcie zabiegu.

Przygotowała pole operacyjne i zmieniła rękawiczki na sterylne. Ręce nieco jej drżały, kiedy przecinała skórę moszny, ale szybko wzięła się w garść. Ponieważ nie dbała o subtelność, wyłuskanie pierwszego jądra z jasnej osłonki powięziowej nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Równie sprawnie poszło z drugim. W tej chwili zależało jej wyłącznie na efekcie, technika zeszła na dalszy plan. Zresztą filmy na *YouTube’ie* nie były zbyt dobrej jakości



i nie wszystkie szczegóły były na nich widoczne. To, co w tej chwili robiła było raczej jej wyobrażeniem kastracji niż faktycznym odtworzeniem zabiegu. Nawet założenie szwów poszło jej gorzej niż przypuszczała – od czasu studiów i stażu zdążyła zatracić zaskakująco dużo umiejętności manualnych. Chociaż właściwie co w tym dziwnego? Skoro mówi się, że perfekcja wymaga częstych powtórzeń, to ich brak powinien prowadzić do takich efektów, jakich właśnie doświadczała. Ale nie było to aż tak istotne. Berman powinien cieszyć się, że traci tylko jądra. Jemu podobni, którymi Marta zajmowała się w przeszłości, nie mieli tyle szczęścia.

Kiedy skończyła, wrzuciła narzędzia do pojemnika, a zakrwawione materiały do plastikowego worka. Skrupulatnie sprzątała po sobie, dokładnie sprawdzając, czy nie zostawiła żadnych obciążających ją dowodów.

Z małej kieszonki sportowej torby wyjęła woreczek foliowy i spojrzała na niego pod światło. Był wypchany włosami o różnych kolorach i długościach. Zebrała je w kilku salonach fryzjerskich. Rozsypała je teraz nie dbale po mieszkaniu, by utrudnić życie policji.

Berman spał nadal, miała czas na ostatnie szlify; mogła pozwolić sobie na improwizację. Odnalazła szafkę z alkoholami i przejrzała jej zawartość, zastanawiając się, czego użyć. To samo zrobiła z lodówką. Uśmiechnęła się pod nosem, wyciągając sok pomidorowy.

W wysokiej szklance zmieszała sok z wódką i wrzuciła do niej odcięte jądra Bermana. Całość zamieszała łydą selera naciowego, zostawiając ją w szklance dla dekoracji. Gotowy koktajl umieściła na stoliku nocnym, obok czerwonego materaca, a potem wyszła, nie oglądając się za siebie.

\* \* \*

Tej nocy długo brała prysznic. Nadal czuła palce Bermana na swoich pośladkach i zapach jego potu w nozdrzach. Na parkiecie ocierał się o nią tak intensywnie, że technicznie można było to uznać za próbę gwałtu. Całe szczęście, że szybko odpłynął, bo budził w niej obrzydzenie. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie klubu i scen, które musiała tam odgrywać. Miała nadzieję, że gorąca woda i żel o intensywnym zapachu malin załatwią sprawę.

Wyszła z łazienki ubrana w puchaty szlafrok, pachnąc jak dziecięcy syrop na kaszel. Na blacie umywalki leżały: peruka, sztuczne paznokcie i soczewki kontaktowe zmieniające kolor oczu. Zamierzała pozbyć się ich jeszcze tego samego dnia. Była trzecia nad ranem, ale nie chciało jej się spać. Włączyła telewizor i obejrzała pierwszy film, na który przypadkiem trafiła. Nie zainteresował jej szczególnie, ale przynajmniej zajęła czymś głowę do czasu, aż zaczęło świtać. Przy dziennym świetle mogła zrelaksować się tak, jak lubiła najbardziej – przesadzając

rośliny doniczkowe, które bez opamiętania kupowała i gromadziła na parapetach swojego mieszkania.

Punktualnie o siódmej zadzwonił Michał Łazowski, jej życiowy partner.

– Cześć Marta, nie obudziłem cię? – spytał chyba przez grzeczność, bo dobrze wiedział, że o tej porze nie mogła już spać.

– Skąd, szykuję się do pracy. Wszystko u ciebie dobrze? Jakie atrakcje zaplanowali wam na dzisiaj? Pościg autostradą? Nalot na jakąś dziuplę?

Michał był policjantem. Wyjechał służbowo do Gdańska na szkolenie, którego tematu Marta dokładnie nie pamiętała. W każdym razie było to coś o przestępczości zorganizowanej.

– Uwielbiam twoją wizję moich obowiązków służbowych. Dziś mamy analizę danych pobranych z systemu za pomocą narzędzia Power Query.

– Proszę, tylko nie wyjaśniaj mi co to jest. Za wcześnie, jeszcze nie piłam kawy.

– Po kawie nie będzie lepiej. Piłem już dwie, a sam zasypiam, jak tylko o tym pomyślę – odpowiedział. – Wszystko u ciebie w porządku? – spytał z czułością w głosie. – Dobrze spałaś?

– Jak niemowlę. – To nawet nie było kłamstwo. Niektóre niemowlęta przez całą noc potrafią wykazywać niezwykłą aktywność.

– Cieszę się. Słuchaj, zadzwonię do ciebie po południu. Postaraj się przeżyć dzień, nie wplątując się w żadną awanturę. Czuję niepokój, kiedy spuszczam cię z oka nawet na chwilę. Będę z powrotem za dwa dni, do tego czasu trzymaj się z dala od kłopotów.

– Możesz na mnie liczyć. Słowo skauta.

Nigdy nie była skautem.

– Dobrze. To chciałem usłyszeć.

Kiedy Michał rozłączył się, zrobiła sobie śniadanie i zjadła je, rozmyślając o Łazowskim. Łączyły ich mroczne sekrety, ale sprawa Bermana nie miała być jednym z nich. Ten chciała zachować tylko dla siebie.

O szczegółach związanych ze sprawą Bermana usłyszała od jednego ze swoich przyjaciół, Piotra Kępińskiego, psychiatry z oddziału „leczącego” gwałciciela. Ze szczegółami opowiedział jej o technikach stosowanych przez ordynatora w celu fabrykowania dowodów na rzekomą niepoczytalność Bermana. Martę niełatwo było zszokować, ale ta historia wywołała w niej oburzenie oraz potrzebę działania. Zawsze napawało ją wstrętem, gdy przestępca unikał sprawiedliwości, wykorzystując układy rodzinne lub towarzyskie. A w tym przypadku wypuszczenie seryjnego gwałciciela po to, by mógł bezkarnie polować, oznaczało współudział w zbrodni. Takie było jej zdanie. Musiała zareagować.

Robiła to już wcześniej.

Należała do nieformalnej organizacji, zajmującej się likwidacją niebezpiecznych przestępców, takich, z którymi nie radził sobie system sprawiedliwości. Jej członkowie robili to po cichu, stwarzając pozory przypadkowości lub zgonów z przyczyn naturalnych. „Zwerbował” ją właśnie Michał Łazowski. Doskonale pamiętała jego słowa: „Wielu z tych przestępców miało już procesy i siedziało w więzieniach, ale zostało wypuszczonych. Na przykład za dobre sprawowanie. Wychodzą i są jeszcze gorsi. Więzienie ich degeneruje. Uczy nowych technik, dostarcza współników i daje większe możliwości. Niektórych po prostu nie da się zresocjalizować. Urodzili się, by szkodzić. To zwyrodnialcy i sadyści. W imię czego mamy to tolerować? Patrząc na cierpienie rodziców, którzy tracą przez nich dzieci? Na krzywdę dzieci pozbawionych rodziców? Włóż jedno zgniłe jabłko do skrzynki, a za chwilę pogniją i inne. Dlatego szukamy tych zgniłych jabłek i pozbywamy się ich, zanim zaszkodzą reszcie. Znajdziesz wśród nas ludzi w każdym wieku i różnych zawodów. Większość nie uczestniczy aktywnie w tropieniu przestępców. Tym zajmujemy się my, policjanci. Kiedy znajdziemy kogoś takiego, szkodnika, uruchamiamy naszą sieć. Pamiętaj, że przestępcy również muszą jakoś funkcjonować – kupują jedzenie, naprawiają samochody, leczą się... Jesteśmy porozumieniem ludzi, którzy wyleczyli się ze

złudzeń, że prawo, policja i sądy są w stanie skutecznie eliminować i rozliczać zło. Dlatego sami wymierzamy sprawiedliwość i przywracamy porządek”.

Od słów Łazowskiego nazwała członków organizacji Wyleczonymi, choć ten upierał się, by nie używać żadnych nazw. W jego opinii powinni pozostać bezimienni. I niewidzialni.

Niewidzialną czyniła Martę jej praca – nikt nie podejrzewałby lekarza, którego zadaniem jest chronić życie, a nie je odbierać. Tylko czy nie tym właśnie się zajmowała? Chroniła życia uczciwych ludzi, którzy nie mogli liczyć na pomoc powołanych ku temu instytucji, przeżartych korupcją, biurokracją i niedbalstwem zatrudnionych tam urzędników. Uczciwych ludzi karanych za to, że naiwnie zaufali systemowi. Dla nich Wolska i Wyleczeni byli ostatnią deską ratunku.

Przełknęła kęs kanapki i włożyła naczynia do zmywarki. Było grubo po siódmej, musiała wkrótce wyjść z domu. Nawet Superman miał pracę, która dawała mu anonimowość oraz namiastkę normalnej egzystencji. Dla Marty praca była jedynym przewidywalnym elementem, jaki jej w życiu pozostał, dlatego trzymała się jej kurczowo, choć czasem miała ochotę wyjść za bramę szpitala i nie wracać tam nigdy więcej. Tym bardziej, że przewidywalność jej pracy polegała głównie na tym, że niczego nie można było w niej przewidzieć.

Torba, komórka, klucze, wyliczyła w myślach, upewniając się, że wszystko zabrała. Zamknęła za sobą drzwi do mieszkania i ruszyła w stronę „Błęńskiej”. Była potwornie niewyspana, za to bardzo z siebie zadowolona.

## ROZDZIAŁ 2

Marta dokończyła ostatni tego dnia wypis i poszła do sali numer cztery, w której leżał nowo przyjęty pacjent. Lucjan Malenda trafił na oddział zakaźny po raz kolejny. Od wielu lat chorował na marskość wątroby w przebiegu zakażenia wirusem HBV i wymagał częstych hospitalizacji, dlatego był tu wszystkim dobrze znany.

– Panie Lucjanie, widzę że wciąż nie zdecydował się pan na wycięcie pęcherzyka żółciowego? – spytała, badając pacjenta. Malenda był w podeszłym wieku i miał masę różnych schorzeń. Kamica żółciowa była jedną z nich.

– Zgadza się, nie chcę tej operacji. Poczekam, aż mi te kamienie zeszlachetnieją. – Zaśmiał się. – Tak szczerze, to już mam serdecznie dosyć szpitali i lekarzy. Oczywiście nie mówię o pani. Pani doktor jest taką osobą, że codziennie mógłbym tu przychodzić! – Puścił do Marty oko.

– Schudł pan od czasu, kiedy widziałam pana po raz ostatni – zauważyła, oglądając go uważnie.

– Aż tak widać? – zmartwił się. – No schudłem. Teraz tak wyglądam, że nawet rosołu już by ze mnie nie było...